

Rwanda, Uganda i Kenia 2014

Tym razem pojechaliśmy do Afryki jako wolontariusze. Mieliśmy spędzić lipiec i sierpień w Kenii na wolontariacie. Korzystając z okazji postanowiliśmy wydłużyć nasz wyjazd o jeden miesiąc, aby zwiedzić Rwandę, Ugandę i Kenię. W ten sposób spędziliśmy tydzień w Rwandzie i dwa tygodnie w Ugandzie. Po wolontariacie mieliśmy jeszcze dwa tygodnie dla siebie w Kenii. Poniżej znajduje się relacja z naszej podróży. Zdjęcia z naszej wyprawy znajdują się na stronie plecakowicz.pl/foto a filmy są na stronie www.youtube.com/user/plecakowicz. Życzymy miłego czytania i oglądania zdjęć oraz filmów. Będziemy wdzięczni za wszystkie uwagi przesłane na e-mail: plecakowicz@gmail.com.

1. Spostrzeżenia z wyprawy

Rwanda po dwudziestu latach od ludobójstwa Hutu na Tutsi rozwija się bardzo dobrze gospodarczo. Kraj ten jest członkiem Wspólnoty Wschodnioafrykańskiej (East African Community), dzięki czemu obecnie na jednej wizie można zwiedzić Rwandę, Ugandę i Kenię. Oficjalny język urzędowy został zmieniony z francuskiego na angielski, co ma pomóc w rozwoju turystyki. Rwanda zaskoczyła nas porządkiem. Dotyczy to czystości, ponieważ dzieci są uczone w szkołach nie śmiecić i kraj ten jest bardzo czysty jak na warunki afrykańskie. Porządek przejawia się także w respektowaniu prawa np. walce z korupcją i jeżdżeniu z maksymalną ilością pasażerów równej ilości miejsc w autobusach. Jednak Rwanda nie zapomniała o swojej historii i po wielkiej tragedii z 1994 roku zostały muzea, pomniki i historie opowiadane przez ludzi. Do Rwandy jedzie się odpoczywać nad jeziorem Kiwu oraz oglądać małpy, w szczególności goryle, szympansy i colobusy.

Większość turystów przyjeżdża do **Ugandy** na wyprawy zorganizowane przez firmy turystyczne. My woleliśmy podróżować po kraju samemu i nie było żadnych problemów. Najtrudniejsze było zorganizowanie safari w parkach narodowych, do czego musieliśmy wynająć samochód lub firmę turystyczną. Uganda jest krajem posiadającym bardzo ciekawe atrakcje. Oglądaliśmy zwierzęta w parkach narodowych Queen Elizabeth i Murchison Falls. Byliśmy kilka razy w Afryce, ale pierwszy raz widzieliśmy lwy wspinające się na drzewa. Spędziliśmy także cały dzień przyglądając się szympansom w Kibale Forest National Park. Odpoczywaliśmy nad jeziorem Bunyonyi i na wyspach Ssesse. Nasz pobyt w Ugandzie zakończyliśmy raftingiem po Nilu Wiktorii. W Ugandzie spędziliśmy dwa tygodnie, ale atrakcji jest tam jeszcze więcej. Nie starczyło nam czasu, żeby pojechać do Kidepo Valley National Park i w góry Rwenzori. Jest też Bwindi Impenetrable National Park z gorylami, ale goryle widzieliśmy już w Rwandzie.

Kenia to najpopularniejszy kraj, do którego turyści jeżdżą na safari. Są tam dziesiątki parków narodowych, z których najstynniejsze to Maasai Mara, Amboseli i Tsavo. Dla amatorów wspinaczki jest tam druga najwyższa góra Afryki, czyli Mount Kenia. Na wybrzeżu Kenii są także ładne plaże w miejscowościach Lamu, Malindi, Watamu i Mombasa. My wróciliśmy po dziewięciu latach do Maasai Mara (ceny są trzy razy wyższe od tego czasu) i oglądaliśmy tam migrację. Później pojechaliśmy do Amboseli oglądać zwierzęta na tle Kilimandżaro, ale pogoda była taka sobie. W sumie spędziliśmy tydzień na safari a przez kolejny tydzień

odpoczywaliśmy na plażach. Najwięcej czasu spędziliśmy na uroczym Lamu, które było prawie puste, ponieważ turyści boją się tam przyjeżdżać z powodu zagrożenia ze strony bliskiej Somalii. Miło też wspominać Malindi, włoskie miasteczko w Afryce. Włosi nie tylko są tu głównymi turystami, ale także są właścicielami doskonałych restauracji. Po wielu tygodniach spędzonych w Afryce marzyliśmy o tak dobrym jedzeniu.

2. Ocena miejsc

Poniżej znajduje się **ocena miejsc, w których byliśmy** wg następującej skali ocen: 1 – badziewie, 2 – nieciekawe, 3 – nic specjalnego, 4 – takie sobie, 5 – może być, 6 – całkiem ciekawe, 7 – warto zobaczyć, 8 – trzeba zobaczyć, 9 – szczególnie polecamy, 10 – trzeba koniecznie zobaczyć:

- **RWANDA [7/10]:** Kigali [8/10], Huye [7/10], Murambi Genocide Memorial [9/10], Nyungwe Forest NP [6/10], Nyanza [8/10], goryle w Volcanoes National Park [9/10], golden monkey w Volcanoes National Park [7/10], Gisenyi [7/10]
- **UGANDA [9/10]:** Sabinyo w Mgahinga Gorilla NP [9/10], Lake Bunyonyi [8/10], Queen Elizabeth NP [9/10], Kibale Forest National Park [10/10], Murchison Falls National Park [8/10], Ziwa Rhino Sanctuary [7/10], Kampala [7/10], Bugala Island na Ssesse Islands [7/10], Nile River Rafting [8/10]
- **KENIA [8/10]:** Maasai Mara [10/10], Hell's Gate NP [7/10], Lake Naivasha [7/10], Amboseli NP [8/10], Mombasa [5/10], Lamu [8/10], Malindi [6/10], Gede [8/10], Watamu [8/10]

3. Dziennik podróży

17.06.2014 Wrocław – Berlin – Istambuł – Kigali

O 1:50 w nocy wyruszamy spod domu zaczynając naszą 3-miesięczną podróż po Afryce, w tym 2-miesięczny wolontariat w Kenii. Z dworca PKS jedziemy Polskim Busem do Berlina. Droga jest dość spokojna, większość osób śpi. Po drodze jest jeden postój na stacji benzynowej, gdzie można się napić coś ciepłego i zjeść. Punktualnie dojeżdżamy na dworzec w Berlinie. Stąd S-Bahn i autobusem na jednym bilecie dojeżdżamy szybko na lotnisko Tegel. Około godziny spędzamy w kawiarni, jedząc śniadanie i sprawdzając pocztę. Potem bez problemu odprawiamy się, nadajemy też nasz namiot, o który się najbardziej baliśmy ze względu na jego nietypowy kształt (okrągły) i rozmiar. Linie Turkish Airlines są bardzo dobre. Wszystko działa, jedzenie jest dobre (ja miałam wcześniej zamówione dla diabetyków), nawet świeżo wyciśnięte soki podają. Przesiadkę w Istambule spędzamy na testowaniu tureckich słodkości i oglądaniu asortymentu w licznych sklepach. Kupujemy też nasze ulubione prażone orzechy laskowe na drogę. Lot do Kigali okazuje się być łączony z lotem do Entebbe w Ugandzie, przy czym większość pasażerów jedzie właśnie tam. Wylatujemy trochę opóźnieni, ale w czasie lotu wszystko jest w porządku. Po północy lądujemy na dość nowoczesnym lotnisku w Kigali, załatwiamy wizę (koniecznie trzeba aplikować przed wyjazdem) wypłacamy pieniądze w bankomacie i jedziemy taksówką do Discover Rwanda Youth Hostel, gdzie mamy zarezerwowaną dwójkę. Hostel jest ogrodzony, strzeżony i przyzwoity, choć trochę za drogi.

18.06.2014 Kigali – Huye

Po smacznym śniadaniu w hostelu jedziemy motorkami do Kigali Genocide Memorial Centre. Tutaj jest pochowanych aż 250.000 ofiar ludobójstwa. Poza zbiorowymi mogiłami jest także interesujące muzeum, w którym można się dowiedzieć jak doszło do ludobójstwa i jak przebiegało, a także o ludobójstwach na całym świecie. Osobna sala poświęcona jest także dzieciom będącym ofiarami masakry. Dookoła budynku jest kilka różnych ogrodów pamięci. W Centrum spędzamy z audioprzewodnikiem ok. 3 godzin. Z wzgórza na którym się znajduje rozciąga się piękny widok na centrum Kigali z wieżowcami. Ogólnie pierwsze wrażenia z Rwandy mamy bardzo pozytywne. Jest tu czysto, zielono a ludzie są bardzo uprzejmi i pomocni. Wracamy do hostelu, zabieramy plecaki i jedziemy odebrać pozwolenia na tropienie goryli do biura RDB. Obok niego znajduje się też Hotel des Mille Colins, czyli hotel, którego historia stała się podstawą do nakręcenia filmu Hotel Rwanda, dotyczącego masakry z 1994 r. Stamtąd jedziemy motorkami na dworzec i dalej jedziemy autobusem do Huye, drugiego największego miasta w Rwandzie. Zostawiamy plecaki w Hotel des Beaux-Arts i jedziemy do National Museum of Rwanda. Obecnie zamykają je o 18 a nie jak pisało w przewodniku o 19, więc mamy tylko godzinkę na zwiedzenie. Dla spokojnego zwiedzenia i przeczytania wszystkich informacji przydałaby się jeszcze jedna godzina, jednak i w godzinę udało nam się wszystko zobaczyć. Najciekawsza na pewno była tradycyjna chatka zbudowana w środku muzeum. Aby wejść do środka, trzeba zdjąć buty. Podobały nam się również ozdobne nakrycia głowy i tradycyjne ubrania ze sznurków i skóry. Przez cały nasz pobyt w muzeum i potem aż do późnej nocy obficie pada. Wieczorem szukamy, skąd odjeżdżają autobusy do Kibeho, bo w przewodniku na temat tej miejscowości nie ma ani słowa. Okazuje się, że tylko jedna firma – Rwinyana Express – pokonuje tę drogę. Na autobusach pisze Kibeho The Holy Land. Dzień wieńczymy obfitym i dobrym posiłkiem w chińskiej restauracji Chez Venant.

19.06.2014 Huye – Kibeho – Nyamagabe – Uwinka

Przed 8 przychodzimy z plecakami na dworzec, kupujemy bilety do Kibeho i obok w biurze zostawiamy plecaki. Autobus odjeżdża o 8:30 i jedzie ok. godziny. Na miejscu wsiadamy na motorki, które zabierają nas pod kościół za właściwym sanktuarium. Wchodzimy do środka. Kościół jest duży, ale pusty, poza figurą Matki Bożej, ołtarzem i tabernakulum nic w nim nie ma. Trochę śmieszą nas konfesjonały, będące wnękami za zasłonką. Idziemy do sanktuarium po drodze mijając szkołę, Caritas, drugą szkołę. Gdy dochodzimy na plac obok sanktuarium słyszymy śpiew. Wchodzimy do pomieszczenia skąd się wydobywają dźwięki a tam okazuje się, że trwa adoracja Najświętszego Sakramentu. Wszyscy przy wejściu ściągnęli buty, więc i my czynimy podobnie. Zebrana grupka wspólnie się modli i śpiewa. Wracamy na plac, gdzie jest figura Matki Bożej z Kibeho. Figura jest charakterystyczna. Matka Boża jest afroamerykanką i jest ubrana w niebieskie szaty. W rękach trzyma różaniec. W samym sanktuarium nie ma nikogo. Dziwi nas, że miejsce jedynych uznanych objawień w Afryce, które poprzedziły bezpośrednio ludobójstwo jest tak puste. Ogólnie, gdyby porównać znane nam sanktuaria to to jest malutkie i skromne, ale według nas dobrze się wpisuje w afrykański klimat. Jakoś pośród tutejszej biedy źle by wyglądało takie wypasione, złote sanktuarium w stylu europejskim. Wracamy do Huye, zabieramy plecaki i jedziemy autobusem firmy Horizon do Nyamagabe. Tam miejscowi pomagają nam kupić bilety do Uwinki w firmie Sotra i motorkami jedziemy do miejsca pamięci ofiar ludobójstwa – Murambi Genocide Memorial. Muzeum mieści się na wzgórzu w szkole średniej, która w 1994 r. stała się miejscem śmierci

50000 Tutsi. Muzeum w środku jest podobne do tego w Kigali, choć bardziej skoncentrowane na historii tego miejsca niż ludobójstwie w ogóle. Na zewnątrz znajduje się zbiorowy grób, do którego wciąż składane są kolejne ciała ofiar. To co zapada najbardziej w pamięci to mieszczące się w osobnych domkach zmumifikowane, niepochowane ciała ofiar. Smród wewnątrz od rozkładających ciał jest nieznośny. Do tego na ciałach widać ślady tortur i gwałtów. Wizyta tu jest jak terapia szokowa. Nasz przewodnik okazuje się być ocalałym jako jeden z dwóch z 14-osobowej rodziny. Pokazuje nam również miejsce, gdzie francuscy żołnierze grali w piłkę nad masowymi grobami pomordowanych. To uświadamia nam, że nie ma granic ludzkiej podłości, upodlenia. Wracamy motorkami na dworzec, odbieramy plecaki i jedziemy do Nyungwe Forest National Park. Na miejsce docieramy już po zmroku. W Uwince jest tylko pole namiotowe, ale można wypożyczyć cały sprzęt na miejscu. My mamy swój, który rozbijamy nieco poniżej głównej siedziby ze względu na hałasującą ekipę badawczą, która wyłapuje owady na specjalne, podświetlane na niebiesko ekrany. Zamawiamy kolację w bufecie a potem siedzimy przy ognisku, które dla nas rozpalono. Warunki są komfortowe, bo na ognisku specjalnie dla nas pracownicy podgrzewają wodę do mycia. Noc jest dość zimna, ale jesteśmy na wysokości ponad 2400 m.n.p.m.

20.06.2014 Uwinka (Nyungwe Forest NP) – Nyanza

Na szczęście budzi nas słońce. Cieszymy się, bo w deszczu to żadna przyjemność iść na trekking. Pakujemy rzeczy, zabieramy do bufetu, gdzie zostawiamy je pod okiem właściciela. W sumie dobrze, że na miejscu jest ta restauracja, bo inaczej trzeba by było wszystko brać ze sobą i dodatkowo mieć sprzęt do gotowania. Na tak krótki czas to się raczej nie opłaca. Rejestrujemy się też u strażnika i ostatecznie decydujemy na jeden długi 6-godzinny trekking (10 km), zwany Imbaraga Trail. Zamawiamy też od razu bilety na autobus do Huye, które jak się później okazuje jadą aż do Kigali a turyści, by mieć zapewnione miejsce w autobusie muszą zapłacić pełną stawkę za przejazd. Poza nami o 9, kiedy wyruszają pierwsze grupy, nie ma nikogo innego, więc w 3 z przewodnikiem wyruszamy na szlak. Niedaleko wejścia udaje nam się zobaczyć pięknego dużego niebieskiego ptaka – Great Blue Turaco. Niestety z większych zwierząt to wszystko co udaje nam się zobaczyć. Poza tym widzimy tylko mrówki, mniejsze ptaki i żaby. Mimo tego droga jest przyjemna. Oglądamy 4 różne wodospady, przy jednym mamy dłuższą przerwę. Same widoki też są dość nietypowe jak na Afrykę. Przypominają raczej Amazonię ze względu na zalesienie, wilgoć i dość tropikalny klimat. Podoba nam się również to, że w wielu miejscach możemy podziwiać las deszczowy z góry. Tempo mamy bardzo szybkie i już o 13:20 jesteśmy z powrotem w Visitor's Centre. Jemy razem z grupą Szwedów lunch i idziemy na drogę czekać na autobus co zajmuje kolejną godzinę. Mimo że jest już ciemno postanawiamy jechać aż do Nyanza, żeby następnego ranka zacząć jak najszybciej zwiedzanie. Autobus zatrzymuje się przy głównej drodze. Stąd trzeba przejechać jeszcze motorkiem do miasta. My zatrzymujemy się w Boomerang Motel.

21.06.2014 Nyanza – Kigali – Musanze

O 6:00 rano budzi nas śpiew chłopców. Jak się później dowiadujemy to dzieciaki, które szły do szkoły śpiewały. O 7:30 jemy bardzo dobre śniadanie (herbata afrykańska, czyli mleko z dodatkiem herbaty, chleb, omlet i talerz egzotycznych owoców) i ok. 8:00 idziemy do The King's Palace Museum/Rukali. Muzeum okazuje się bardzo ciekawe. Dzieli się na 3 części. Pierwsza to trzy tradycyjne słomiane domki, odbudowane na wzór oryginalnych. Jeden, największy to dom króla, drugi to dom mleczarki, dziewczicy, która przechowywała mleko i

trzeci to przechowalnia piwa. Za nimi znajduje się druga część muzeum, czyli zagroda z tradycyjnymi rwandyjskimi krowami – „Inyambo”, które słyną z olbrzymich rogów. Krowy robią na nas duże wrażenie. Obecnie ten rodzaj krów jest rzadko spotykany, bo rolnicy wolą wypaszać krowy ras europejskich, które dają ok. 20 l mleka dziennie. Natomiast tradycyjne krowy dają tylko 2 litry. Stąd też muzeum jest jednym z centrów, którego zadaniem jest podtrzymywanie gatunku. Trzecia część to murowany pałac, który dla króla zbudowali Belgowie. Oczywiście w niczym nie przypomina naszych europejskich zamków, ale jak na Rwandę, to dość okazały dom. W środku można zwiedzić pokoje królewskie, pooglądać zdjęcia króla i zapoznać się z historią Rwandy od XV w. Z muzeum, z tym samym biletem wstępu idziemy jeszcze nieopodal na grób króla Mutary III Rydahigwa, którego otruto w 1959 r. w czasie wyprawy do Burundi po niepodległość oraz jego żony, która została zabita w czasie ludobójstwa w 1994 r. Zabieramy plecaki i jedziemy do Musanze z przesiadką w Kigali. Zatrzymujemy się w Urumuli Hotel, obok dworca autobusowego. Na dworcu zaczepia nas też chłopak oferując przewóz do parku narodowego po 65 USD za dzień. To dobra cena. Spuszcza jeszcze 5 dolarów, ponieważ bierzemy samochód na dwa dni. Początkowo trochę się boimy, że nie przyjedzie, bo nie ma biura, ale wieczorem, gdy spotykamy się z nim i jego poprzednim klientem w restauracji uspokajamy się nieco usłyszonymi rekomendacjami. Poza tym nie ma zbyt wielkiego wyboru. Agencji nie ma, w hotelach wypożyczają samochody drożej, poza tym nie wiadomo do jakiej grupy się trafi jeśli się jest z innymi osobami. Poza tym na ulicach nie widać zbyt wielu turystów. Zastanawiamy się nawet, gdzie śpi te 80 osób, które codziennie idzie oglądać goryle.

22.06.2014 Volcanoes National Park

Wstajemy o 5:30, żeby o 6:00 wyjechać do parku. Na szczęście umówiony samochód zjawia się na czas. Dojeżdżamy jako jedni z pierwszych. Przewodnik nas rejestruje, kupuje pozwolenia na tropienie golden monkeys na następny dzień a potem pomaga nam wypożyczyć odpowiednie kalosze, które potem okazują się dobrym wyborem ze względu na duże błoto jakie jest po drodze. Na trawniku obok rozstawia się zespół z pobliskiej szkoły, który tańczy, śpiewa i gra na bębnach. Każdy może się też poczęstować kawą i herbatą. Spotykamy parę Polaków z Warszawy. Wszyscy narzekają na wysokość opłat, ale jak się później dowiadujemy są i tacy turyści, którzy wielokrotnie wracają do goryli, oglądają wszystkie grupy a jeden był tu nawet 75 razy, czyli zostawił tu niezły majątek. My zostajemy przydzieleni do grupy Hirwa, co znaczy „Szczęśliwy”. Jest to dość nowa grupa, składająca się z 17 goryli. Ciekawostką jest to, że znajdują się w niej trzyletni bliźniacy. Jedziemy jeszcze kawałek samochodami a potem przez godzinę i 15 minut dochodzimy do naszej grupy. Wędrówka jest łatwa, jedynie ostatnie zejście jest trochę strome. Przewodnik jest cały czas w kontakcie z tropicielami. Ogólnie pracowało 9 osób na naszą 8, plus dodatkowo tropiciele. Nie dziwne, że to taka droga wycieczka. Gdy dochodzimy do goryli jesteśmy zaskoczeni tym, że tak blisko nich możemy przebywać. Zdecydowanie jesteśmy bliżej niż 5 metrów. Najpierw widzimy silverback’a z bliźniakami. Przewodnik mówi nam, że to wyjątkowy widok, bo zwykle ojcowie goryli nie przejawiają takiej troski. Pogoda jest kiepska. Możemy za słynnym filmem przyjąć, że widzimy goryle we mgle. Do tego po jakimś czasie zaczyna padać lekki deszcz. Nie przeszkadza to absolutnie w oglądaniu goryli, natomiast rewelacyjnych zdjęć w takiej pogodzie nie można zrobić. Trudno, będziemy się cieszyli z naszej obecności tutaj. Goryle podchodzą bardzo blisko nas. Jeden bliźniak nawet dotyka Brytyjkę. Przechodzimy dalej, by pooglądać inne goryle. Widzimy matkę bliźniaków i inną samicę z małym, ale najcieplejsze uczucia budzi we wszystkich widok innej matki z najmniejszym członkiem rodziny – 2-

miesięcznym maluchem. Jest tak słodki, że ciężko się nam ruszyć z miejsca. Wracamy jednak z powrotem, oglądając matkę z bliźniakami i silverback'a na koniec. Godzina mija nieprawdopodobnie szybko, ale też daje okazję do bliskiego spotkania z tymi zwierzętami. Ogólnie goryle nie wydają się nam tak potężne, z wyjątkiem silverback'a, którego rozpiętość ramion, masywny kark i rozbudowana klatka piersiowa nie pozostawiają złudzeń kto tu jest szefem. W czasie naszego pobytu goryle są spokojne, niewiele się przemieszczają, raczej ziewają, co było jak myślimy spowodowane pogodą. Przewodnicy dobrze wykonują swoje zadanie. Dbają o zwierzęta, ale też pozwalają się nam nacieszyć gorylami. Z żalem wracamy z powrotem, po drodze spotykając radosne dzieciaki. Około 13 jesteśmy już w Mustanze. Odpoczywamy w hotelu, oglądając zrobione zdjęcia a potem na 16 idziemy na Mszę po francusku do kościoła MB Fatimskiej. Wieczór spędzamy na dobrej kolacji w najlepszej knajpce w mieście Le Pailotte.

23.06.2014 Musanze – Volcanoes NP – Gisenyi

O 6:30 spotykamy się z naszym przewodnikiem. Tym razem jedziemy samochodem osobowym i z naszymi plecakami, bo po tropieniu golden monkey chcemy od razu jechać do Gisenyi. Wszystko wygląda podobnie jak poprzedniego dnia. Na miejscu można się napić kawy i herbaty, wypożyczamy gumowce, spotykamy się z przewodnikiem, który podaje nam podstawowe informacje o naszej grupie i ruszamy w korowodzie do miejsca, skąd zaczynamy trekking. Jest on bardzo łatwy, łatwiejszy niż do goryli. Odwiedzamy grupę liczącą 100 osobników, ale zobaczyć udaje się nam ok. 30 małp. Jest to gatunek zagrożony (liczy 2500 sztuk) i spotykany jedynie przy Virungach (czyli w 3 sąsiadujących ze sobą parkach w Rwandzie, Kongo i Ugandzie). Małpy są znacznie większe niż się spodziewałam. Mają szeroką, „miśkowatą” twarz, złoto-rudawe futro i są dość szybkie. Sprawnie przemieszczają się między gałęziami, by znaleźć kolejne pożywienie. Początkowo mamy dobre miejsca, bo znajdujemy się na skraju lasu. Można więc robić zdjęcia bez lampy, choć ze względu na ruchliwość małp jest to dość kłopotliwe. Następnie cała grupa przemieszcza się do lasu bambusowego, gdzie jest ciemno. Widzimy je, ale o zdjęcia trudno. Potem gubimy je całkowicie, by na ostatnie 10 minut ponownie znaleźć się na skraju lasu i obserwować kilka osobników. Ogólnie jesteśmy bardzo zadowoleni. Małpy są ładne a atrakcja wcale nie dużo gorsza od goryli. Nie wspominając nawet o cenie. No ale goryle to goryle, dobro narodowe Rwandy, które przynosi 1/3 produktu krajowego brutto. Nie ma więc co liczyć na spadek ceny. Wracamy do Musanze, wysyłamy pocztówki do Polski i jedziemy autobusem do Gisenyi. Tu zatrzymujemy się w centrum Prezbiteriańskim. Przyzwoite pokoje z ciepłą wodą mają w dobrej cenie. Jedziemy lokalnym minibusem do Pfunda Tea Factory, gdzie okazuje się, że nie są już organizowane wycieczki z przewodnikiem. Sam kierownik fabryki tłumaczy nam, że mieli nieprzyjemności z turystami i postanowili wycofać się z oprowadzania turystów 3-4 lata temu. Mimo tego wciąż ta atrakcja figuruje w przewodniku. No nic, wracamy do miasta i jedziemy autobusem do Rubona Peninsula, oglądamy browar, port przy którym odbywa się dziś targ i jest sporo osób, idziemy przejść się po okolicy. Spotykamy dużo uśmiechniętych dzieci i wchodzimy do kościoła, w którym odbywa się próba chóru. Ten robi na nas duże wrażenie. Nie dość, że jest duży, to jeszcze co do śpiewu nie można mieć zastrzeżeń. Widać, że miejscowi mają to we krwi. Wracamy do Gisenyi i idziemy na targ po owoce a następnie na plażę w mieście. Ta jest zadbana i czysta. Wzdłuż niej jest nawet rodzaj promenady. Pomimo zimnego wiatru nie brakuje amatorów kąpeli wodnych. My zadowolamy się pięknym zachodem słońca nad jeziorem Kivu. Wieczór spędzamy w tureckiej knajpie, gdzie podają nawet smaczną shawarmę.

24.06.2014 Gisenyi – Musanze – Kisoro

Rano Przemek idzie na internet a potem razem jeszcze raz idziemy na plażę, która rano jest ładnie oświetlona. Po spacerze zabieramy nasze plecaki i jedziemy na dworzec autobusowy, gdzie łapiemy autobus do Musanze. Ten dworzec jest dość dziwny. Od razu po przyjeździe zlatuje się duża grupa naganiaczy i każdy mówi co innego. Dlatego najlepiej samemu przejść się do autobusów i popytać gdzie jadą. Ważne jest też czy w autobusie siedzą ludzie, bo to oznacza, że autobus rzeczywiście za niedługo odjedzie. Po dojeździe do Musanze przesiadamy się do minibusów jeżdżących do granicy. Tu pierwszy raz płacimy zawyżoną cenę za przejazd (miejscowi płacą 500 a my 1000 franków). Godzimy się na to, bo mamy duże plecaki i dodatkowo za parę złotych nie chce nam się już szarpać. Przed granicą wymieniamy pozostałe franki na ugandyjskie szylingi (tu również próbują nas oszukać, ale się nie dajemy). Przelicznik jest całkiem dobry a dodatkowo od razu możemy zapłacić za granicą za przejazd do Kisoro. Przekraczanie granicy jest wyjątkowo łatwe jak na kraje afrykańskie. Jedynym novum jest konieczność zameldowania się najpierw na posterunku policji po stronie ugandyjskiej, gdzie policjant spisał nasze dane i dał nam świstek papieru, z którym dopiero można się udać do biura imigracyjnego. Tu sympatyczna pani wbija nam ładną wizę. Do Kisoro decydujemy się jechać taksówką (25000), bo mamy dużo bagażów. Taksówkarz zabiera nas też najpierw do biura UWA, w którym decydujemy się na trekking na Sabinyo w Mgahinga Gorilla National Park. Pierwotnie planowaliśmy zrobić Batwa trial, ale opisy w przewodniku nas skutecznie zniechęciły. Jedziemy do Graceland Motel na nocleg, umawiamy się z taksówkarzem na dowóz następnego dnia rano do parku, zamawiamy jedzenie w motelu. Tempo – jak zresztą wszędzie w Afryce – mają zawrotne. Cały posiłek zajmuje min. 1,5 h. Później idziemy do kafejki internetowej, wypłacamy pieniądze w Stanbic Banku i robimy zakupy na następny dzień.

25.06.2014 Kisoro – Mgahinga Gorilla NP – Kabale

Wstajemy o 5:00, żeby o 5:30 wyruszyć do bram parku narodowego. Na miejsce dojeżdżamy po godzinie, zatem wystarczyło wyjechać o 6:00. O 7:00 przychodzą strażnicy, rejestrujemy się i o 7:30 wyruszamy wraz z Matthew z Australii na wspinaczkę na Sabinyo – szczyt, który leży na wysokości 3669 m.n.p.m. i na którym zbiegają się trzy granice: ugandyjska, rwandyjska i Demokratycznej Republiki Konga. Po chwili dołącza do nas Ryan z Wielkiej Brytanii i wraz z dwoma przewodnikami idziemy na szlak. Droga jest początkowo dość błotnista, ale po dojściu do lasu bambusowego jest już na szczęście lepiej. Po Nyungwe wydawało nam się, że jesteśmy w dobrej kondycji, ale ten szlak okazał się o wiele trudniejszy. Różnica w wysokości jest ponad 1300 m. Do tego tak naprawdę zdobywa się trzy szczyty i przez większość trasy idzie się pod górkę. Miejscami jest tak stromo, że zostały ustanowione drewniane drabinki, po których trzeba się wspinać. Po dotarciu na pierwszy szczyt jesteśmy już zmęczeni, ale się nie poddajemy i postanawiamy kontynuować drogę. Do drugiego szczytu dojście jest w miarę łagodne, natomiast na trzeci szczyt wchodzi się po stromych schodach. Ten ostatni kawałek jest naprawdę ostry i bez schodów aż trudno sobie wyobrazić, jak mielibyśmy go zdobyć. Co ciekawe schodki podobno dobudowano dopiero rok temu. Przez cały trekking mamy piękne widoki na dolinę, na wulkan Muhavura i górę Gahinga, granie oraz piękną roślinność. Na szczycie nie ma nawet żadnego znaku demarkacyjnego, ale przewodnik wskazuje nam kamień, na którym łączą się granice. Wszyscy robimy sobie pamiątkowe zdjęcia po kongijskiej stronie, bo ten kraj wszystkim nam

wyduje się najtrudniejszy do podróżowania ze względu na niestabilną sytuację jaka tam panuje. Z góry widzimy też drugą grupę, która weszła na pierwszy szczyt, ale już nie kontynuuje drogi dalej ze względu na zbyt późną godzinę. Matthew opowiada nam o swoim doświadczeniu z goryłami w tym parku z poprzedniego dnia. Był jedynym turystą, który się pojawił i za 600 USD miał całą goryłą rodzinę dla siebie. Wymieniamy się wzajemnie informacjami na temat podróżowania po Afryce. Dzięki tak miłym kompanom, udaje nam się przejść całą trudną trasę w 9 i pół godziny. Wracamy z naszym kierowcą do Kisoro. Planujemy pojechać dalej autobusem do Kabale, ale wieczorne autobusy zaczynają się od 19:30. Mamy więc półtorej godziny. Nasz taksówkarz załatwił nam współdzieloną taksówkę do Kabale, która odjeżdżała od razu, więc dajemy się skusić na tę egzotyczną podróż. Okazuje się, że tutaj do takiego zwykłego osobowego samochodu mieści się aż 9 osób (4 z przodu i 5 z tyłu). Kierowca siedzi prawie innej kobiecie na kolanach. Nie wierzymy własnym oczom, ale jakoś w tym ścisku docieramy na miejsce. Taksówkarz podwozi nas nawet do Kabale Backpackers, gdzie zostajemy na noc. Oglądamy jeszcze końcówkę meczu Nigeria-Argentyna w ramach mistrzostw świata w Brazylii, jemy kolację i zamawiamy na 8 rano śniadanie. Z informacji jakie otrzymujemy wynika, że dojazd do Queen Elizabeth National Park jest bardzo trudny (trzeba się przesiąść w Mbarara), autobusy jadą tylko do 13 a my chcemy zwiedzić jeszcze Lake Bunyonyi. Postanawiamy sprawdzić tę informację samodzielnie następnego dnia.

26.06.2014 Kabale – Bunyonyi Lake – Katunguru

Po śniadaniu wyprowadzamy się z hostelu i idziemy obok do Edirisa Museum, gdzie oglądamy tradycyjny dom plemienia Bakiga. Przewodnik po kolei pokazuje nam do czego służyły poszczególne przedmioty. Najbardziej podoba nam się dziura w drzwiach, przez którą z łuku strzelano we wrogów, oryginalna parasolka i spichlerz. Muzeum jest nawet ciekawe, szkoda tylko, że wszystko zostało zamknięte w ciemnym pomieszczeniu a nie jest zrobione na zewnątrz. Następnie wypłacamy pieniądze z bankomatu i idziemy na skrzyżowanie, z którego odjeżdżają autobusy. W jednym biurze (Kalita Transport) oferują bezpośredni przejazd do Katunguru o godz. 16, co nas w pełni satysfakcjonuje. Kupujemy bilety i mamy nadzieję, że autobus naprawdę odjedzie o tej godzinie i jeszcze o dość przyzwoitej porze dotrzemy na miejsce, żeby załatwić sobie samochód na następny dzień. Bieremy taksówkę i jedziemy nad jezioro Bunyonyi. Tu wypożyczamy łódkę, która nas zabiera na wycieczkę po okolicy. Najpierw jedziemy na przeciwległy brzeg, gdzie wspinamy się na sam szczyt. Stąd rozpościera się piękny widok na okolicę i wiele wysp na jeziorze. Potem przepływamy na Punishment Island, gdzie swoją kolonię mają kormorany. Wysepka jest malutka i ma znaczenie historyczne. Dawniej wywożono tu niezamężne kobiety, które były w ciąży. Jedynym ratunkiem dla nich było wykupienie ich przez biednych mężczyzn, których nie stać było na wykup innych kobiet. Następnie opływamy jeszcze wyspę Bunyonyi Wildlife Resort (Eco Lodge), na którą zwieziono dzikie zwierzęta. Widzimy z łódki antylopy i zebry. Na brzegu innej wyspy oglądamy jeszcze narodowego ptaka Ugandy – żurawia. Idziemy na lunch do Kalebas Camp. O 15 spotykamy się z umówionym wcześniej taksówkarzem, który zabiera nas do hostelu po plecaki a następnie na dworzec. Niestety autobus, który miał odjechać o 16, wyjeżdża z półtoragodzinnym opóźnieniem. W efekcie do Katunguru przyjeżdżamy o 21:30. Na szczęście jest to niewielka wioska i nocleg jest dosłownie kilka kroków od miejsca, w którym zostaliśmy wysadzeni. Rwenzori Salaama Hotel to niezła dziura, nie ma nawet bieżącej wody a łóżko to wykafelkowany katafalk z materacem, ale na jedną noc może być. Zresztą innej opcji w tym mieście nie ma, trzeba by było jechać do parku a na to jest już za

późno. Zastanawialiśmy się jeszcze jak wynajmiemy tu samochód, ale już po wysiadce podszedł do nas kierowca samochodu, który zaoferował swoje usługi. Na szczęście nie miał cen z kosmosu i dodatkowo można się było targować, więc ostatecznie stanęło na 210 USD za samochód z paliwem za dwa dni, w tym jeden w Ishasha. To całkiem dobra cena.

27.06.2014 Katunguru – Kasenyi – Kazinga Channel – Ishasha

Wyjeżdżamy o 6:30. Jedziemy do bram parku Queen Elizabeth NP, gdzie opłacamy wstęp za 2 dni i jedziemy na poranną jazdę do Kasenyi. Po drodze spotykamy bawoły i ugandyjskie koby. Potem widzimy jeszcze waterbucki, hienę, koby ugandyjskie, guźce z małymi, ptaki i bawoły. Ogólnie nic specjalnego, jeśli się już było na jakimkolwiek safari wcześniej. Potem jedziemy na lunch do Tembo Canteen. Po drodze widzimy słonie, guźce i African Fish Eagles. Kantyna jest pięknie położona na wzgórzu. Jemy obiad w ogrodzie co pozwala nam obserwować stada słoni, które przychodzą ochłodzić się nad rzekę. Na obiad polecamy grillowaną rybę, która jest przepyszna. Po obiedzie jedziemy do Mweya Safari Lodge, gdzie kupujemy rejs łódki i korzystamy z wifi. Lodge jest przepięknie zrobiony i położony. Również rejs jest o wiele lepszy niż łódką UWA. Przede wszystkim nasza łódka płynie wolno, więc o wiele łatwiej zrobić zdjęcia zwierzętom. Poza tym jest również cichsza, więc nie płoszy zwierząt. Rejs okazuje się o wiele lepszą atrakcją niż poranne safari samochodem. Widzimy dużo słoni, hipopotamów, bawołów, antylop i przeróżne, piękne ptaki, których w większości nazw nie znamy. Rejs trwa 2 godziny. Po drodze mija się jedną wioskę położoną nad kanałem. W odległości kilkunastu metrów widzimy kąpiące się dzieci i hipopotamy. Zakładamy, że żadnych tragicznych wypadków nie było, inaczej nikt nie podejmowałby się chyba takiego ryzyka. Wracamy do Katunguru, gdzie zmieniają się nam kierowcy i jedziemy do Ishasha. Po drodze spotykamy sporo zabawnych małp, bawiących się przy drodze. Jedna nawet wskakuje nam na maskę. Niedaleko bramy do parku udaje nam się jeszcze z daleka zobaczyć black and white colobusy, przepiękne i rzadkie małpy. Przy bramie dowiadujemy się, że niedawno widziano lwy na drzewie figowym niedaleko od wjazdu, więc kierowca postanawia nas tam od razu zabrać. Rzeczywiście udaje nam się od razu zobaczyć najlepszą atrakcję, z której słynie ta część parku. Trzy samce i dwie samice siedzą na różnych gałęziach tego samego figowego drzewa. Jesteśmy zauróczeni i jednocześnie żałujemy, że już się ściemniło, bo zdjęcia przy tak kiepskim świetle nie mogą wyjść zbyt dobre. No nic, widoków na szczęście nikt nam nie odbierze. Wiele już w czasie naszych wypraw do Afryki widzieliśmy, w tym lamparty na drzewach, ale lwów jeszcze nie. Wyglądają bardzo śmiesznie. Nogi zwisają im bezwładnie, zachowują się jak domowe kocurki, nawet potrzeby załatwiają z wysokości. Gdy robi się już ciemno, jedziemy dalej na nocleg w bandzie. To lokalny okrągły domek, który na szczęście nie kosztuje wiele. Są tu tylko dwa takie domki, więc trzeba je rezerwować wcześniej. Nam się udało dzień wcześniej. Osobno są toalety i prysznice. Jest ciepło, w oddali słychać odgłosy hipopotamów, szumią drzewa, pali się ognisko a niebo jest usłane gwiazdami. Czego chcieć więcej? To są takie miejsce, które naprawdę pozwalają się zrelaksować. Umawiamy się na następny dzień z przewodnikiem i idziemy spać.

28.06.2014 Ishasha – Kibale Forest National Park

Rano jedziemy na dwugodzinną jazdę. Oglądamy przede wszystkim koby ugandyjskie, bawoły, ptaki i topisy – rodzaj antylopy, które tu występują w dużych ilościach. Lwów nie udaje się nam spotkać. Po śniadaniu znów próbujemy szczęścia, ale z takim samym skutkiem. No trudno, i tak jesteśmy zadowoleni, że poprzedniego dnia udało nam się je zobaczyć na

drzewie. Przy okazji dowiadujemy się, że można za 50 USD od osoby wziąć do samochodu lekarza, który wie, gdzie są lwy, bo w każdej grupie (a są ich 4 w parku) jeden lew ma nadajnik. Wtedy też ma się pozwolenie na jazdę poza szlakiem, aby do nich dotrzeć. Może nie jest to zbyt ciekawa opcja, ale dla bardzo zdeterminowanych, jest to jakieś wyjście. My na szczęście nie musieliśmy się uciekać do takich sposobów. Wracamy do Katunguru o 14 i od razu łapiemy transport - matatu dalej do Port Fortal z przesiadką po drodze. Tam jedziemy boda boda na Kamwenge Road, skąd odjeżdżają dzielone taksówki do Kamwenge. Od razu udaje się nam dopełnić jedną i wyruszamy, prosząc, by nas wysadzono przy Visitor's Centre w Kibale Forest National Park. Na miejsce dojeżdżamy po około godzinie. Idziemy za drogowskazami na pole namiotowe, ale wydaje nam się ono jakieś niedokończone i nikogo też na nim nie ma. Postanawiamy pójść dalej i znaleźć Primate Lodge, do którego należy pole. Akurat przejeżdżają samochodem strażnicy parku, którzy postanawiają nas dowieźć do swojej siedziby (blisko). Tam od razu załatwiamy wycieczkę na następny dzień. My wybieramy chimps habituation, czyli pobyt z szympanсами przez cały dzień. Płacimy i pracownik lodge'a zabiera nas dalej. Rejestrujemy się i rozbijamy przy lodge'u. Zamawiamy kolację, śniadanie i lunch na wynos. Jedzenie jest przepyszne, tylko ceny spore, ale wyjścia nie mamy. Przez cały dzień nie było nawet kiedy zrobić zakupów. Poza tym cena za same szympansy jest tak duża, że reszta kosztów to już mały problem. Bierzymy ciepły prysznic i szybko kładziemy się spać, bo pobudka już o 5:30.

29.06.2014 Kibale Forest National Park – Fort Portal

Dzień rozpoczynamy śniadaniem o 6:00. O 6:30 czekamy już na przewodnika, ale niestety zatrzymały go po drodze do pracy słońce. W efekcie wyruszamy z półgodzinnym opóźnieniem. Nasza przewodniczka ma broń, ale jak sama mówi, to tylko na wypadek spotkania słoń. Już na samym początku trekkingu spotykamy trzy rodzaje małp. Po około godzinie udaje nam się zobaczyć pierwsze szympansy. Na razie z daleka, bo siedzą na koronach drzew i jedzą śniadanie w postaci owoców. Pozostałości spadają na dół. Trzeba więc uważać, żeby nie dostać w głowę. Potem idziemy trochę dalej i widzimy jak samiec alfa schodzi na dół a za nim kilka innych szympansów. Siadamy blisko nich i obserwujemy je przez około pół godziny. Po tym czasie dołączają do nas turyści, którzy przyszli na tropienie szympansów. Podążamy wraz z nimi za jednym z szympansów przez ponad pół godziny. Potem szympansy znów wchodzi na drzewo i musimy czekać aż zejść. Pozostali turyści muszą już wracać, więc znów zostajemy sami. Widać też, że jesteśmy lepiej traktowani niż pozostali. Mamy swojego przewodnika, który nas prowadzi osobno i ustawia nas w najlepszym miejscu do obserwowania szympansów. Praktycznie cały dzień upływa nam na chodzeniu za szympansami i czekaniu aż zejść na dół. Jest to bardzo fajne i pouczające doświadczenie. O wiele lepsze niż przyjscie tu tylko na godzinę. Postanawiamy wrócić z popołudniową grupą. W drogę powrotną wyruszamy ok. 15:30. O 16 jesteśmy w centrum turystycznym. Zabieramy plecaki, żegnamy się i idziemy łapać taksówkę w drogę powrotną do Fort Portal. Na szczęście nie musimy długo czekać. Taksówkarz podwozi nas nawet do kościoła na Mszę, bo dzisiaj niedziela. Jesteśmy nieco spóźnieni, ale lepsze to niż nic. Msza jest w języku angielskim, ale trudno wszystko zrozumieć. Zresztą ugandyjski angielski to momentami zupełnie nieznanym nam język. Po Mszy idziemy do Visitor's geusthouse w centrum, gdzie zostajemy na noc. Kolację jemy w nowym miejscu, bardzo ładnym i z przepysznym jedzeniem – Duchess. Załatwiamy sobie także matatu na 6 rano, które jedzie bezpośrednio do Hoimy.

30.06.2014 Fort Portal – Masindi – Murchison Falls National Park

Punktualnie o 6:00 matatu stoi pod naszym domem. Jesteśmy pozytywnie zaskoczeni, że jest już wypełnione i od razu wyruszamy w drogę. Niestety dość szybko kończy się asfalt i zaczyna wyboista szutrowa droga. Kierowcy nie oszczędzają tu pojazdów i jeżdżą znacznie szybciej niż można się by było spodziewać. Na efekty nie trzeba czekać. Około 9:00 nie daję rady i zatrzymujemy matatu, żeby mogła zwymiotować. Na szczęście ulga przychodzi szybko. Ku naszemu zaskoczeniu przed 10:00 dojeżdżamy już do Hoimy. Szybko znajduje się współdzielona taksówka, którą w następną godzinę dojeżdżamy do Masindi. Nie spodziewaliśmy się takiego obrotu sytuacji. Postanawiamy rozejrzeć się po mieście za transportem do parku. W polecanym w LP przewodniku Enyange chcą 550000 szylingów za dwa dni. Inni proponują 700000 albo 200 USD plus paliwo i inne opłaty. Wracamy więc do Enyange. Jak jesteśmy już zdecydowani, to okazuje się, że nie mają samochodu. Szukają kogoś z autem. Właściciel przychodzi i rzuca ceną 1200000 szylingów. Straszni oszuści. Ewakuujemy się stamtąd i dogadujemy z facetem za 700000 szylingów. Oczywiście do tego musimy opłacić wszystko za siebie. Droga przyjemność, ale i tak chyba jest to najtańsza opcja dojazdu do parku. Jemy smaczny obiad w Traveller's Corner, robimy drobne zakupy i o 15:00 wyruszamy do parku. Droga zajmuje nam ok. 2 godzin. Po drodze kierowca zabiera swojego małego syna, który pierwszy raz jedzie do parku. Na drodze siedzą pawiany w znacznych ilościach. Zatrzymujemy się w Red Chilli Rest Camp w namiocie safari. Namioty są bardzo wygodne, w środku są łóżka. Zamawiamy kolację i siedzimy w głównej restauracji, z której rozpościera się ładny widok na cały park. Wieczorem rozpalają w tym miejscu również ognisko. Jedzenie jest bardzo smaczne i w przystępnych cenach. Zamawiamy śniadanie, kąpiemy się i kładziemy się. Wtedy słyszymy, że koło naszego namiotu chodzi hipopotam. Na szczęście jest głównie zainteresowany naszym trawnikiem a nie nami. Podchodzimy całkiem blisko, przychodzą inni turyści. To całkiem duży okaz. Poza tym po polu namiotowym kręcą się guźce, które jak zostajemy ostrzeżeni wyjadają ciasteczka i wszelkie jedzenie pozostawione w namiocie.

1.07.2014 Murchison Falls National Park

Wstajemy o 6:00 a o 6:30 wyruszamy na jazdę. O 7:00 przeprowadzamy się promem na drugi brzeg rzeki i jedziemy na nasze pierwsze safari w tym parku. Zaczyna się dobrze. Od razu widzimy dużo antylop i żyraf. Potem spotykamy bawoły, koby ugandyjskie, oribi – małe antylopy, czaple, słonie, guźce i różne ptaki. Park jest ładny, zielony, choć dość wysokie trawy czasem utrudniają obserwację. Najdłużej zatrzymujemy się jednak przy dwóch lwicach, które spokojnie siedzą sobie w towarzystwie żyrafy i antylop w cieniu. Jedna z nich podchodzi nawet bardzo blisko naszego samochodu. Z kierowcy jesteśmy zadowoleni średnio. Jeździ zbyt szybko i bardzo szybko chciał też opuścić park, choć i tak wszyscy spotykają się o 11 na promie powrotnym. Po naszej interwencji jedziemy na jeszcze jedną rundę koło Paraa Safarii Lodge. Tu widzimy ciekawe jaszczurki i pawiany. Wracamy do Red Chilli i odpoczywamy na tarasie. W tym czasie przychodzi do nas grupa 5 guźców. Chodzą po terenie kempingu jak psy koło domu. W końcu odpoczywają w cieniu pod drzewem. Jemy obiad i o 14 jedziemy do biura Wild Frontiers, gdzie kupujemy wycieczkę łódką do wodospadów. Wyżywamy o 14:30. Wycieczka nie jest tak ciekawa jak w Queen Elizabeth NP. Widzimy dużo mniej zwierząt: koby ugandyjskie, guźce, słonia, hipopotamy i różne ptaki. Dystans do wodospadów jest duży, więc statek płynie dość szybko, żeby w 3 godziny obrócić w dwie strony. Przed samymi wodospadami widzimy jeszcze krokodyle w tzw. zatoce krokodyli. Statek nie podpływa zbyt

blisko do wodospadu. Widać go jedynie z daleka i to przez krótki czas, dlatego warto wsiąść i wybrać się na pieszą wycieczkę w górę wodospadu. Jest parno i gorąco, więc warto zabrać ze sobą dużo wody do picia i nakrycie głowy. Po drodze przystajemy kilkanaście razy, aby z różnej perspektywy zrobić zdjęcia najpierw jednemu wodospadowi a następnie obydwu i Nilowi. W końcu dochodzimy do samego szczytu wodospadu. Wycieczka ta była chyba najlepszym punktem tego dnia. Zdecydowanie nie warto poprzestawać na widoku wodospadów z góry i z łódki, bo najlepsze widoki są na trasie. Wracamy do Red Chilli, jemy kolację, kąpiemy się i idziemy spać.

2.07.2014 Murchison Falls NP – Nakitoma – Ziwa Rhino Sanctuary – Kampala

Rano powtarzamy te same czynności co poprzedniego dnia, z tym że od razu zabieramy ze sobą plecaki, żeby nie wracać już do Red Chilli. Na przeprawę czeka dziś mniej samochodów i wszyscy przejeżdżają za pierwszym razem. Niestety to safari nie jest tak udane jak poprzednio. Nie udaje nam się zobaczyć lwów ani innych drapieżników. No ale nie można mieć do nich szczęścia codziennie. Widzimy słonie, bawoły, żyrafy, guźce, różne antylopy i ptaki. O 11:00 wracamy promem na drugą stronę i jedziemy do Masindi. Tu próbujemy wsiąść do matatu do Nakitoma, ale chcą nas skasować stawkę za cały przejazd. Nie dajemy się i postanawiamy pojechać dużym autobusem firmy Link o 14:00. Ok. 15:00 jesteśmy w Nakitomie. Od razu podjeżdżają do nas boda boda. Umawiamy się z kierowcami, zostawiamy u jednego z nich w sklepie plecaki i namiot i jedziemy do Ziwa Rhino Sanctuary. Na miejscu okazuje się, że za każdym nosorożcem chodzą strażnicy i dlatego dokładnie wiedzą, gdzie w parku są zwierzęta i czy trzeba podjechać samochodem, żeby je zobaczyć. Płacimy za wstęp i idziemy niedaleko obejrzeć Bellę i trzymiesięczną Lunę. Malutka jest śliczna i wiernie podąża za matką. W końcu spoczywają w krzakach, uniemożliwiając nam dalszą obserwację. Decydujemy się wynająć jeszcze samochód, żeby zobaczyć inne nosorożce. Po drodze spotykamy macho samca o imieniu Taleo. Ojca wszystkich 9 młodych nosorożców w parku. Jest olbrzymi a jego strażnik, żeby za nim nadążyć, jeździ na rowerze. Dalej idziemy do innej matki z rocznym nosorożcem. Akurat postanawiają wziąć kąpiel błotną. Widok jest prześmieszny, zwłaszcza kiedy olbrzymia matka wywraca się na plecach w każdą stronę z nogami do góry. Wszystko obserwujemy z niewielkiej odległości. Zdecydowanie polecamy to doświadczenie chodzenia na pieszo za nosorożcami. Zaspokoiwszy swoją żądzę zobaczenia nosorożców z bliska, wracamy do Nakitomy naszymi motorkami i prawie od razu łapiemy autobus do Kampali. Po 3 godzinach jesteśmy w stolicy. Jest już późno, ok. 21:30, ale życie na ulicach tętni. Pełno jest powystawianych kramików i stoisk z jedzeniem. Idziemy pokrętną drogą do Aponye Hotel, gdzie dostajemy całkiem przyzwoity pokój z ciepłą wodą. Jest nawet darmowe wifi.

3.07.2014 Kampala – Entebbe – Ssesse Islands

Nareszcie porządnie się wysypiamy. Idziemy na amerykańskie śniadanie do hotelowej restauracji a potem zostawiamy bagaże w recepcji i jedziemy motorkami zwiedzić katedrę w dzielnicy Rubaga. Jest ona poświęcona męczennikom ugandyjskim, którzy ponieśli męczeńską śmierć z rąk oprawców króla Kabaka Mwanga II, gdy nie chcieli się wyrzec chrześcijańskiej wiary. Wracamy do hotelu, zabieramy bagaże i motorkami jedziemy do Usafi Taxi Park, skąd odjeżdżają matatu do Entebbe. Wsiadamy w Entebbe przy bankomacie, wypłacamy pieniądze i motorkami dojeżdżamy do Nakiwogo, skąd odpływają promy firmy Earth Wise na Ssesse Islands. Początkowo chcieliśmy płynąć z Kampali, ale okazało się, że promy tej firmy już

stamtąd nie kursują. Robimy jeszcze owocowe zakupy na miejscowym targu, Przemek je rolexa i punktualnie o 14:00 wypływamy na wyspy. Po około 2 godzinach doływamy do jakiejś wyspy, na której kolejne osoby dosiadają się na prom. Po 17:00 jesteśmy na miejscu. W porcie witają nas przedstawiciele prawie wszystkich hoteli na wyspie. Decydujemy się na Ssesse Island Beach Hotel, który daje nam dobrą zniżkę i dowozi nas samochodem do swojego hotelu. Na miejscu podwyższają nieładnie cenę z 70000 na 80000 za noc ze śniadaniem, ale mimo to zostajemy tam. Zamawiamy też dobrą kolację i oglądamy zachód słońca. Wieczorem oglądamy na komputerze francuską wersję Oskara i Pani Róży.

4.07.2014 Bugala Island, Ssesse Islands

Rano budzą nas szalejące wokół domku małpy. Jemy śniadanie a potem spacerujemy plażą do Mirembe Resort. Jest to rzeczywiście chyba najbardziej zadbane hotel w tej części wyspy z ładną, wyczyszczoną plażą, choć standard wszystkich z nich jest podobny (ceny również). Wracamy do nas na plażowanie. Czas płynie tu spokojnie. Nie ma praktycznie innych turystów, można się poczuć jak na prawdziwych wakacjach. Jedyny minus jest taki, że nie można pływać w jeziorze Wiktora z powodu bilharzii. Oczywiście widzimy miejscowych kąpiących się w jeziorze, ale sami nie podejmujemy tego ryzyka. Idziemy na smaczny lunch do Mirembe Resort. Wracamy do nas, plażujemy i o 17:00 idziemy do portu. Oczekując na prom postanawiamy przejść się po wiosce. Spotykamy dużo radosnych dzieci. Jeden chłopiec kąpie się w misce z wodą. Inny 2-latek na golasa biegał z wielkim nożem. Ogólnie nikt się tutaj dziećmi nie przejmuje. Przyływa statek. Znowy przyjechali przedstawiciele wszystkich lodge'ów. Fajnie to wygląda. Dzisiaj mają niezły połów, bo przyjechało ok. 10 turystów. Przemek idzie jeszcze na rolexa i wracamy na zachód słońca do nas do hotelu.

5.07.2014 Ssesse Islands – Kampala – Jinja

O 7:00 jemy śniadanie i na 7:30 jesteśmy już odwiezieni do portu. Kontrola osobista i rzeczy trwa długo. Cały plecak mi policjantka wywaliła. Nie wiadomo po co. Prom odpływa planowo. Po przybyciu do Entebbe w porcie czekają już matatu, które zabierają nas do Kampali. Stolica jest jak zawsze zakorkowana. Czekamy długo na dojazd na miejsce. Ponieważ busik wysadza nas koło Kasenyi Bus Terminal postanawiamy popytać o autobus do Jinja. Jest jeden, ale akurat zaraz chce odjechać. Pytamy czy są późniejsze, ale wszyscy wskazują nam na stary dworzec matatu po drugiej stronie ulicy. Pytamy czy możemy gdzieś zostawić plecaki. Pokazują nam, gdzie możemy je położyć. Zostawiamy i jedziemy boda boda do Kasubi Tombs, czyli miejsca pochówku 4 ostatnich kabaka (króli) ugandyjskich. Miejsce to, będące na liście UNESCO spłonęło w wyniku zamachu terrorystycznego Somalijczyków w 2010 r. Trwa odbudowa głównego budynku. Podobno do lutego 2015 r. ma zostać skończona. Przewodnik opowiada nam ciekawie o dokonaniach poszczególnych króli, jeden zasłynął tym, że pozwolił kobietom na jedzenie kurczaków i jajek. Nie dziwne, że kobiety go lubią. Odnosimy wrażenie, że Ugandyjczycy są dumni ze swojego króla i cieszą się, że mają monarchię, choć faktycznie nie pełni on żadnej funkcji. Stamtąd jedziemy do Mengo Palace. To pałac królewski. Wzniesiony na wzgórzu, z którego rozpościera się ładny widok na miasto. W prostej linii widać też parlament plemienny, zbudowany na drugim wzgórzu. Przewodnik opowiada nam historię powstania pałacu a także znajdującego się obok więzienia, w którym przez 11 lat terroru Amina i Obote zginęło ok. 15000 osób. Najbardziej szokuje towarzystwo slamsów przy samym pałacu, które okazują się mieszkanie osób zatrudnionych przez króla. Bardzo dziwne wrażenie. Pałac wzorowany na siedzibach szkockich a obok dalej mentalność

afrykańska. Ciekawe zestawienie. Chcieliśmy jeszcze odwiedzić Martyr's Shrine, miejsce śmierci męczenników ugandyjskich, ale jest już późno i postanawiamy pojechać do Jinja. Była to dobra decyzja, bo z powodu korków dojazd zajmuje dużo czasu i na miejsce dojeżdżamy przed samym zmrokiem. Najpierw jedziemy boda boda do Bridgeway Guesthouse, ale pokoje są średnie i dość drogo. Decydujemy się pojechać do Adrift Camping, gdzie przy rezerwacji całonocnego raftingu dostajemy nocleg w dormie za darmo. Przystajemy na tą ofertę. Wieczór spędzamy jedząc posiłek w restauracji z widokiem na Nil.

6.07.2014 Jinja – Nile River Rafting – Nairobi

Rano załatwiamy w recepcji kupno biletów na autobus do Kenii. Podczas śniadania obserwujemy rybaków, którzy o tej porze na swoich drewnianych łódkach łowią ryby poniżej naszego pola namiotowego. Mocno to kontrastuje z skaczącymi obok na bungee turystami. Tu biedni rybacy a tu bogaci turyści. W Afryce takie kontrasty spotykane są cały czas. Ok. 9:30 wyruszamy na rafting. Najpierw jedziemy ok. 45 minut do bazy, gdzie czeka na nas mała przekąska (kawa, herbata, muffinki i banany), zwana tu szumnie śniadaniem. Ubieramy kaski i kamizelki i zostajemy podzieleni na 2 grupy w zależności od tego, czy chce się być mokrym czy nie. My oczywiście zgłaszamy się do grupy nie bojącej się wody. Wsiadamy na łódkę i przechodzimy wstępne szkolenie z różnych zachowań i na różne wypadki, m.in. co zrobić, gdy łódka się wywróci a my znajdujemy się pod nią. Wyptywamy. Początkowo jest spokojnie. Podczas wiosłowania zapoznajemy się z innymi uczestnikami wycieczki i przewodnikiem z Nowej Zelandii. Chłopak fajnie wszystko prowadzi, jest zainteresowany nami, tym co robimy, podróżami. Wszyscy się świetnie dogadują. Jestem jedyną dziewczyną na łodzi, więc w razie wypadnięcia mam kilku chłopaków do ratowania. Uskoki okazują się bardzo fajne i nie takie straszne. Nawet jesteśmy zdziwieni, że nie ma ich więcej. Każdy chciałby częściej poczuć adrenalinę. Po 2-3 godzinach rozstajemy się z tymi, co byli na północnym spływie. Dosiadają się do nas dwie Rosjanki. Przybijamy do brzegu wyspy, na której czeka nas smaczny (hurra! warzywa!) lunch. Odpoczywamy i wyptywamy na drugą część spływu. Na jednej z kaskad wypadam razem z Rosjanką za burtę. Chłopcy nas wciągają na ponton i płyniemy dalej. Na ostatniej kaskadzie wywraca się cała łódź i wypadają wszyscy. Przewodnik obraca ponton na drugą stronę i po kolei się wyławiamy. Obok nas płynęła zresztą duża grupa ratowników na kajakach i oni właśnie wciągają Rosjankę. Ostatni kawałek chłopcy przepływają o własnych siłach. Na łodzi czekał na nas grill i oglądanie zdjęć i filmów z raftingu. Jako grupa kupujemy zdjęcia i wracamy do Adrift Camp. Jemy tu kolację i o 20:30 boda boda jedziemy na dworzec, z którego odjeżdża autobus firmy EasyCoach do Nairobi. Autobus przyjeżdża ok. 21:30. Wsiadamy. Jest nawet sporo miejsca na nogi i tylko 4 siedzenia w rzędzie, co jak na warunki afrykańskie można nazwać luksusem. Przed północą przekraczamy granicę ugandyjsko-kenijską. Nie mamy tu większych problemów. Na szczęście nie musimy wymieniać ugandyjskich szylingów, bo co do ostatniego udało nam się wydać. Na granicy nie ma większych problemów, wypełniamy karty wyjazdowe i wjazdowe oraz podanie o wizę, płacimy za nie i bez kłopotów dostajemy wizę na 90 dni.

7.07.2014 Nairobi – Mitunguu

Nad ranem przyjechaliśmy do Nairobi. Wszyscy nas ostrzegali przed zamieszkami z okazji saba saba (czyli siedem siedem w j. Swahili). To święto związane z wprowadzeniem systemu wielopartyjnego w Kenii. Od tej pory jest to okazja dla opozycji, by urządzać strajki. Na szczęście rano nie ma jeszcze protestantów. Wypłacamy pieniądze z bankomatu. Kupujemy

zestaw startowy w największej sieci komórkowej Safaricom i robimy zakupy. Dość szybko udaje nam się też odnaleźć postój matatu do Meru. Kontaktujemy się z Izą i Judytą, z którą będziemy na wolontariacie i udajemy się w dalszą podróż. Jesteśmy zaskoczeni, że nikt nie chce od nas wyłudzić pieniędzy za przewóz bagażu w matatu i nie ma osobnego kasjera. Pieniądze za przewóz kierowca zbiera przed odjazdem. Droga nam się trochę dłuży, ale ok. 14:30 dojeżdżamy na miejsce. W Mitunguu spędzimy prawie dwa miesiące na wolontariacie.

1.09.2014 Mitunguu – Nairobi

Po ośmiu tygodniach kończy się nasz wolontariat. Rano po śniadaniu żegnamy się z wszystkimi i jedziemy do Nairobi. Po przyjeździe na miejsce szukamy agencji, z którą wybierzemy się na safari. Wybieramy Amicabre Travel Services. Za 7 dniowe safari: 3 noce w Masai Mara, 1 w Naivasha i 2 w Amboseli, w tym pierwsze 3 dni jako safari grupowe a pozostałe jako safari prywatne płacimy 1225 USD/os. Idziemy spać do Terminal Hotel, jemy w Steers i robimy zakupy na drogę w markecie Nakumat.

2.09.2014 Nairobi – Maasai Mara

Po 8:00 wyjeżdżamy do Maasai Mara. Po drodze oglądamy Wielki Rów Afrykański, który zaczyna się w Morzu Czerwonym a kończy w Mozambiku, licząc 9600 km. W Narok jemy lunch i wyruszamy w dalszą drogę. Mijamy wiele wiosek Masajskich. Sporo osób ubranych jest w tradycyjne stroje i ma rozciągnięte uszy. Niektóre kobiety przystrojone są w biżuterię. Im bliżej parku, tym widzimy więcej zwierząt: antylopy, zebry, żyrafę. O 15:30 dojeżdżamy do kempingu Lenchada, dostajemy swój namiot z łazienką (jest nawet ciepła woda), pijemy herbatę i o 16:00 wyjeżdżamy na popołudniowe safari. Jest pochmurno, ale udaje nam się zobaczyć gnu, impale, słonie, żyrafy, zebry, topi. Zaczyna mocno padać. Wracamy na kolację a wieczór spędzamy na opowieściach podróżniczych z innymi członkami naszej grupy i dwiema Holenderkami.

3.09.2014 Maasai Mara

O 7:00 jemy śniadanie i o 7:30 wyjeżdżamy na całodniowe safari do parku. Niedługo po wjeździe widzimy pierwsze trzy lwice i ich zdobycz. Szczęście nam dopisuje przez cały dzień, gdyż chwilę później widzimy geparda, kolejne lwy i lamparta na drzewie. Do godziny 10:00 udaje nam się więc zobaczyć wszystkie zwierzęta, które zwykle najtrudniej wypatrzyć. Jesteśmy zadowoleni. Oczywiście oprócz tego widzimy także żyrafy, słonie, elandy, guźce, antylopy i niezliczone ilości gnu. O 12:00 jesteśmy na punkcie widokowym, skąd widzimy pierwsze kilkutyśięczne zbiorowisko gnu, które szykuje się do przekroczenia rzeki Mara w drodze do Serengeti. Mamy nadzieję, że uda nam się zobaczyć migrację. Zjeżdżamy do rzeki, gdzie oglądamy krokodyle i hipopotamy oraz gnu z zebkami. Grupa gnu zbiera się do przeprawy. Wygląda to przezabawnie, bo zwierzęta biegają w kierunku rzeki i z powrotem. Jemy w samochodzie lunch, jedziemy oglądać trzy kolejne lwy, które znajdują się w pobliżu. Gdy wracamy ok. 15 gnu stoją już w jednym miejscu. Przewodnik mówi, że na pewno niedługo przekroczą rzekę. Wszystkie samochody (ok. 20) czekają w pewnej odległości od rzeki i obserwują co się dzieje. Gdy jeden z przeciwnego brzegu zaczyna podjeżdżać do rzeki, wszystkie samochody szybko dojeżdżają do rzeki. Zaczyna się widowisko, na które aż łezka w oku mi się zakręciła. W bardzo krótkim czasie kilka tysięcy gnu przepływa przez rzekę, wdrapuje się na brzeg i gromadzi po drugiej stronie. Poczuliśmy się jakbyśmy brali udział w

nagranium Discovery Channel. Potem próbujemy zobaczyć jeszcze jedną grupę jak przekracza rzekę, ale czas uciekał zbyt szybko a zwierzęta się nie decydowały, więc odpuściliśmy sobie. W drodze powrotnej udało nam się zobaczyć dwa kolejne lwy. Jeden samiec siedział pięknie nad rzeką, miał piękną scenerię za sobą i bujną grzywę. Kolejna lwica siedziała przy głównej drodze, ale zaczął padać deszcz i nawet się nie zatrzymywaliśmy. Spotkaliśmy też wielkie stado gnu, które ciągnęło się przez kilometr. Tutaj naprawdę można uwierzyć, że w parku jest obecnie 800.000 gnu. Wieczór spędzamy na kempingu, oglądając zdjęcia z całego dnia.

4.09.2014 Maasai Mara

Wyjeżdżamy o 7:00 na kolejne całodniowe safari. Mamy dużo szczęścia, bo w parku jest mało samochodów. Udaje nam się zobaczyć stado pięciu lwów z świeżo upolowanym gnu. Cztery lwy się oddalają, ale jedna lwica przez długi czas rozszarpuje jeszcze mięso. Po skończonym posiłku dołącza do pozostałych lwów a do resztek gnu dobiera się szakal i sępy. Te ostatnie przeganiają w końcu szakala. Dalej udaje nam się zobaczyć geparda. Oczywiście spotykamy też wszystkie pospolite zwierzęta: słonie, gnu, zebry, impale, elandy, topi, żyrafy oraz mnóstwo ptaków (secretary bird, egyptian goose, marabuty, fish eagle i inne). Cały dzień jeździmy po mniej znanej części parku. Nie ma tu tyle samochodów, ale i zwierząt jest jakby mniej. Oczywiście z wyjątkiem zebra i gnu, gdyż te oglądamy w dziesiątkach tysięcy. Udaje nam się też wypatrzeć piękną parkę lwów siedzących na wielkich głazach i wypatrujących swoje następne ofiary. W drodze powrotnej znów spotykamy geparda i lwy. Wydaje się, że każdego dnia można tu zobaczyć ok. 10 lwów. To bardzo dużo. Po południu znów zaczyna padać deszcz. Pogoda nie sprzyja wieczornym jazdom. Boimy się też, że droga powrotna może być nieprzejezdna. Już dzisiaj mieliśmy problem z przekroczeniem rzeki. Dlatego wspólnie z przewodnikiem decydujemy, że pojedziemy kolejnego dnia inną bramą z powrotem w stronę Nairobi.

5.09.2014 Maasai Mara – Lake Naivasha – Hell's Gate NP – Naivasha

Dość szybko z rana okazuje się, że nasz przewodnik kłamał jak z nut co do porannego safari. Pojechaliśmy jedynie główną drogą w stronę innej bramy, żeby zatankować samochód w jednym z lodge'ów i na tym się skończyło nasze safari. Przed 8:00 wyjechaliśmy już na dobre z parku. O 12:00 dojechaliśmy do skrzyżowania, gdzie rozjeżdżają się drogi na Nairobi i do Naivashy. Tam zjedliśmy lunch i przesiedliśmy się do samochodu z innym przewodnikiem. Z trudem odezwaliliśmy się na pożegnanie do poprzedniego – Michaela, wciąż jeszcze wściekli za kłamstwa i brak porannego safari. Na napiwek nie miał co liczyć. Z Benem pojechaliśmy najpierw nad jezioro Naivasha. Tu zapłaciliśmy dodatkowo za rejs po jeziorze. Było zimno, ale zobaczyliśmy mnóstwo ciekawych ptaków, hipopotamy, koby śniade i wielkiego pytona. W słoneczną pogodę wycieczka może być jeszcze ciekawsza. Na szczęście nie padało. Potem pojechaliśmy na rowerowe safari w Hell's Gate NP. Skałki nas rozczarowały, ale podobała nam się idea pieszego czy rowerowego safari. Przynajmniej zaczerpnęliśmy trochę świeżego powietrza i ruszyliśmy się z samochodu, w którym spędziliśmy poprzednie dni. Udało nam się z bliska zobaczyć zebry, bawoły, guźce i wiele rodzajów antylop. Z dreszczykiem emocji przejeżdżaliśmy koło stojących tuż obok drogi bawołów. Z punktu widokowego zeszliśmy pieszo w dół kanionu do gorącej rzeki z Masajem. Biedak biegł za naszymi rowerami, żeby móc nas tu zaprowadzić. W drodze powrotnej przestraszyliśmy lamparta na drzewie z ofiarą. Upuścił ją (guźca) i uciekł. Trochę czekaliśmy aż przyjdzie, ale niestety robiło się już późno i musieliśmy kontynuować drogę do bramy. Ogólnie z wycieczki byliśmy zadowoleni, ale

wstęp do parku ustalony na 30 USD od osoby uważamy za lekką przesadę. Park jest mały, ma niewiele zwierząt, ale w Afryce wszystkie wstępy wydają się znacznie zawyżone. Na nocleg jedziemy do Naivashy.

6.09.2014 Naivasha – Amboseli NP

Po śniadaniu wyjeżdżamy w długą drogę do Amboseli. Korki są niemiłosiernie a kierowcy ciężarówek wyprzedzają na trzeciego. Ciągniemy się w wielkim sznurku za innymi samochodami. Z Nairobi zabieramy prywatnego kucharza. Może nareszcie uda nam się coś zjeść, bo niestety ostrzeżenie o mojej diecie dla diabetyków nie odniosło do tej pory większych skutków i ciągle chodzę przez to głodna. Nawet na lunchu mogłam zjeść tylko smażoną kapustę i żylastą wołowinę. Około 16:00 dojeżdżamy do kempingu, zostawiamy rzeczy i jedziemy na popołudniowe safari. Kilimanjaro niestety nie widać, jest zasłonięte chmurami. Amboseli oznacza w języku Masajów miejsce pełne kurzu i szybko po wjeździe do parku można się o tym przekonać. Zwierzęta są w oddali. Przy samej drodze, blisko widzimy tylko słonie, antylopy, zwłaszcza białe gnu i zebry. Żyrafy, guźce, strusie możemy oglądać tylko z daleka. Pierwsze wrażenie mamy takie sobie z tego parku, ale pogoda też niezbyt sprzyja innemu nastawieniu. Nowy kucharz spisuje się znacznie lepiej i wieczorem jemy pierwszą w Kenii rybę.

7.09.2014 Amboseli NP

Rano z naszego kempingu widać ładnie Kilimanjaro, ale jest jeszcze zbyt ciemno, żeby zrobić dobre zdjęcia. O 6 jemy śniadanie i o 6:30 wyjeżdżamy. Wschodzące słońce ładnie oświetla akacje. Około 6:40 widok na Kilimanjaro zasłaniają chmury i tak już pozostanie przez cały dzień. Dopiero wieczorem lekko odstonił się szczyt góry. Jest bardzo zimno, mimo że jedziemy ubrani w skarpety, długie spodnie i polary. Dostaje wiadomość, że wypatrzone zostały dwie grupy lwów. Najpierw jedziemy do dwóch lwic, które przemierzają drogę wzdłuż palmowego gaju. Potem jedziemy do drugiej grupy, składającej się z lwa i lwicy. Niestety siedzą w znacznej odległości, więc na dobre zdjęcia nie ma co liczyć. Niedaleko udaje nam się zobaczyć kolejnego lwa. Następnie robimy rundkę wokół mokradła. Widzimy te same zwierzęta co poprzednio, ale tym razem udaje nam się zobaczyć z bliska. Dodatkowo spotykamy hipopotamy i dwie hieny. Jedna z nich zabawnie się kąpie w mokradłach. Robimy sobie przerwę przy lotnisku a potem jedziemy na ścieżkę hien. Tutaj jest ich całe mnóstwo. W dołach mają swoje nory, w których zajmują się małymi. Następnie jedziemy na punkt widokowy położony na małej górze. U jej podnóża znów widzimy dużo zwierząt z hipopotamami i słoniami na czele. Słoni w tym parku rzeczywiście jest bardzo dużo i najwięcej czasu spędza się na ich oglądaniu. Rodziny są zwykle duże a samice mają dużo młodych w różnym wieku. Wchodzimy na szczyt punktu widokowego, gdzie jemy lunch, oglądając z góry przechodzące zwierzęta. Na samej górze są też ładne różnokolorowe ptaki, które przyciągają uwagę fotografów. Jedziemy na dalszą przejażdżkę, ale z nowych zwierząt udaje nam się zobaczyć tylko mangustę. Wracamy w miejsce, gdzie rano widzieliśmy parę lwów. Udaje nam się je wypatrzeć w niewielkiej odległości jak śpią. Na szczęście przechodził niedaleko słoń i tak je przestraszył, że się obudzimy i ruszyły z miejsca. Potem jesteśmy jeszcze świadkami jak słoń próbuje przestraszyć lwy i je odgonić. Całość wygląda przezabawnie. Zadowoleni wyjeżdżamy z parku i jedziemy do wioski masajskiej, znajdującej się niedaleko naszego kempingu. „Wstęp” do wioski pobierany jest zaraz po przyjeździe. Zbiera się grupa Masajów i Masajek i tańczą dla nas. Tańce nam się podobają,

ale są krótkie. Potem zostajemy zabrani do środka wioski, gdzie Masajowie pokazują nam jak rozpalic ogień bez zapalek, czym się leczą, jak wygląda ich dom i jakie mają zwyczaje. Przy okazji opowieści o wielożeństwie pytam o zawieszony na szyi naszego przewodnika różaniec. Mówi, że jest katolikiem. Kiedy pytam jak godzą religię ze zwyczajem np. wielożeństwa wtedy mówi, że jest wierzący, ale dochowuje też tradycji. Ciekawe podejście. Misjonarze coś już tu zrobili, ale widać, że chyba nie do końca złapali zasady wiary. Na koniec zostajemy zaprowadzeni na straganik z pamiątkami. Strasznie są rozczarowani, że nic nie kupujemy. No trudno, dobrze, że chociaż za wstęp skasowali. Jedną z pozytywnych rzeczy, które mogę powiedzieć o tej wiosce to, że przewodnik i mieszkańcy byli autentyczni. Mieli znamiona wypalone na policzku, brak dolnych zębów, kije w ręce i szuki. Widać, że są już wykształceni (po szkole średniej), mówią po angielsku i potrafią zarabiać na swojej kulturze. Zapytani o obrzezanie dziewczynek powiedzieli, że tego nie robią, ale z innych źródeł wiemy, że jest to wciąż praktykowane. Także wydaje się, że jedne historie są sprzedawane turystom a inne dzieją się, kiedy turyści opuszczają wioskę. Na zakończenie dnia wkurzamy się na kierowcę, który mówi, że poranna jazda będzie krótka, bo w Nairobi potrzebują samochód, za który przecież zapłaciliśmy! Przemek wdaje się w słowną sprzeczkę i robi się nieprzyjemna atmosfera. Nie ma jak to przyjechać na wakacje odpocząć, czyli cały czas się stresować i jeszcze wydać za to masę pieniędzy. Powoli tracimy nadzieję, że w tej Afryce kiedykolwiek cokolwiek może się zmienić na plus.

8.09.2014 Amboseli NP – Mombasa

Poranne safari nie możemy zaliczyć do udanych. Najpierw wkurzył nas przewodnik, bo chcąc zaoszczędzić na bilecie wstępu chciał nas zabrać na jazdę wzdłuż płotu parku! Oczywiście czuliśmy, że coś jest nie tak i kazaliśmy się zabrać na te same mokradła, na których byliśmy w poprzednie dni. Przewodnik zaczął nas obrażać, mówiąc, że takich trudnych klientów jeszcze nigdy nie miał etc. Z 20 minut zajmuje dyskusja. W tym czasie Kilimajaro zasłania się chmurami. Ostatecznie kierowca zabiera nas gdzie chcemy, oczywiście musi kupić bilety do parku i jest cały czas niemiły dla nas. Raz Przemek prosi, żeby podjechał w miejsce, gdzie poprzedniego dnia widzieliśmy lwy, ale nie chce i mówi, że nic tam nie ma i że jest doświadczonym kierowcą. Po kolejnej sprzeczce podjeżdżamy tam i udaje nam się zobaczyć serwala. Na krótki komentarz, że rzeczywiście nic tam nie było, nie odpowiada już nic. Po śniadaniu na kempingu jedziemy w drogę powrotną. Z kierowcą już nie rozmawiamy. Wysadza nas w Emali i tam łapiemy autobus prosto do Mombasy. Kierowca bezczelnie mówi jeszcze, że musimy dać kucharzowi napiwek. Do samego więc końca gość działa nam na nerwy. Droga do Mombasy jest długa, zajmuje ok. 8 godzin. Ok. 14:00 jest krótka przerwa na obiad. Autobus jedzie dość szybko, ale musi mijać dużo ciężarówek. Jest upalnie i w przeciwieństwie do naszych safari przez całą drogę świeci słońce. Po zmroku dojeżdżamy do Mombasy. Bieremy z dworca tuk tuka, który zawozi nas do biura sprzedającego bilety na Lamu – Tawakal. Kupujemy ostatnie bilety na 6:00 rano i idziemy do pobliskiego hotelu. Na ulicy kupujemy kokosy i jemy shawarmę.

9.09.2014 Mombasa – Lamu – Shela

Kiedy o 5:30 idziemy na autobus sporo miejscowych restauracji jest już czynnych i ma klientów, którzy przyszli na śniadanie. My również zostawiamy bagaże w autobusie i idziemy na herbatę, samosy i mandazi. Autobus jedzie dość szybko. Droga jest jednak długa, zajmuje 7,5 h. Przez ostatnie dwie godziny nie ma już asfaltu. Po ostatnich zamachach w tym regionie

turyści praktycznie nie podróżują tą trasą. W naszym autobusie jesteśmy jedynymi białymi, również z pozostałych, które dojechały na tą samą godzinę do portu nie wysiadają żaden turyści. Płyniemy z portu od razu na Shela Beach. Miejscowy przewodnik bierze nas w różne miejsca i pokazuje różne hotele. Wszędzie pustki, może z wyjątkiem najdroższego Peponi Hotel. Zostajemy tuż obok niego w Shela Pwani Guest House, który ma świetną cenę do jakości i znajduje się bliźniutko plaży. Idziemy na obiad do Stop Over Restaurant. Jedzenie w restauracjach jest drogie. Zupa krabowa i sok mango są przepyszne. Pozostałe jedzenie też jest ok. Po południu idziemy na spacer wzdłuż plaży. Ponieważ nie ma turystów a plaża jest dzika i długa można mieć wrażenie, że jest się na bezludnej wyspie. Plaża jest urokliwa: szeroka, z ładnym białym piaskiem a dalej przeradza się w ładne wydmy, na których rosną małe palmy. Nie jest może bardzo fotogeniczna, ale na odpoczynek idealna. Po drodze mijamy latarnię morską i wielki fort, który jest prywatną posesją i ładnie wkomponowuje się w otoczenie. Oglądamy zachód słońca i wracamy do hotelu.

10.09.2014 Shela

Po śniadaniu z widokiem na plażę i morze na tarasie naszego hotelu, idziemy na plażę. Ja się opalam i pływam a Przemek idzie porobić zdjęcia. Zamawiamy kolację w naszym hotelu (ryba w sosie kokosowym) a obiad jemy w Mango Top Roof Restaurant w Msafini Hotel. Jedzenie polecamy bardziej niż w Stop Over. Przynajmniej wszędzie robią tutaj dobre soki owocowe, chociaż mango ze Stop Over jest nie do pobicia, dlatego po długim spacerze wzdłuż plaży wracamy tam na chwilę odpoczynku. Po plaży biega wiele krabów, zwłaszcza poza częścią turystyczną. Na nasz widok uciekają do wody, ale jak tylko przechodzimy, to znów się pojawiają. Po plaży spaceruje zaledwie kilka osób, ma się wrażenie, że jesteśmy tutaj sami. I kolejna myśl, która nam się pojawia to, że w chwilach kryzysu, gdy nie ma zbyt wiele turystów, standard usług znacznie się podnosi. Tutaj każdy jest miły, mówi „jambo” i nawet nie są bardzo natrętni na sprzedaż usług i produktów. Proponują, ale z braku zainteresowania odpuszczają. Niektórych osób robi się nam żal. Na przykład mężczyzny, który koniecznie chciał nam zrobić dzisiaj kolację z ostryg. Ponieważ nie jedliśmy ich nigdy, nie chcemy ryzykować. Mężczyzna wraca jednak z prośbą o pomoc finansową, bo nie ma na czesne za szkołę dla córki. Musiał być bardzo zdesperowany, bo niełatwo mężczyźnie prosić o pieniądze na taki cel. Widać, że kryzys dotknął tu prawie wszystkich, bo chwilę później menager naszego hotelu prawie prosi nas, żebyśmy zamówili u nich kolację. Decydujemy się na rybę z sałatką i ryżem. Jest to strzał w dziesiątkę. Dostajemy pyszną rybę w sosie i do tego sałatkę, jakiej przez 2 miesiące w Kenii nigdy nie widzieliśmy. Śmiejemy się, że po niej to już na pewno organizm dostanie szoku witaminowego. :)

11.09.2014 Shela

Kolejny dzień plażujemy do południa. Dzisiaj wydaje nam się, że jest jeszcze mniej ludzi niż było w poprzednie dni. Na plaży leżymy sami. Nie ma co narzekać. Koło południa przychodzą jedynie dzieci szkolne z nauczycielką na plażę i robią trochę hałasu, ale my też się już powoli zbieramy na obiad. Idziemy znów do Msafini. Tym razem zamawiam homara. Ponieważ jest jakaś konferencja w restauracji dostajemy świetny taras z bujawką piętro niżej do naszej wyłącznej dyspozycji. Jedzenie jest świetne. Dostaję dwa homary prosto z grilla, idealnie docięte, żeby nie było problemu z wyjęciem mięsa. W oczekiwaniu na danie prawie zasypiamy na bujawce. Po obiedzie odpoczywamy na tarasie w naszym hotelu. Nie ma jak to książka przy szumie palm i morza. Około 16:00 idziemy na długi spacer wzdłuż plaży. To

straszne jaką ilość śmieci każdego dnia wyrzuca morze. Niby wszyscy na wyspie są bezrobotni, narzekają, że nie ma turystów, ale nikt nie zabierze się za oczyszczanie plaży, na której chcą zarabiać. Wracamy na kolację do naszego hotelu.

12.09.2014 Shela – Lamu Town

Po śniadaniu wyjeżdżamy łódką do Lamu Town. Rybak płynie wolno, więc tym razem mamy się okazję przyrzeć dokładnie wybrzeżu. Na miejscu zaczyna się walka o to, kto i gdzie nas zaprowadzi na nocleg. Po obejrzeniu kilku miejsc zostajemy w Archipelago Villas tuż przy brzegu. Stosunek ceny do jakości wydaje nam się tu najlepszy. Zostawiamy plecaki i idziemy na walking tour opisany w LP. Najpierw zwiedzamy Lamu Museum. Jest w nim w sumie wiele ciekawych opisów i przedmiotów. Poza tymi dotyczącymi tradycyjnego rzemiosła – rzeźbionych mebli i drzwi, można się wiele dowiedzieć na temat zwyczajów kultury Swahili, ubrań, muzyki, wyposażenia domu. Najbardziej podoba nam się jednak sekcja z biżuterią, którą tradycyjnie noszą kobiety. Ciężkie srebrne, złote i mosiężne ozdoby pewnie pourywałyby nam uszy, ale jak pokazują załączone zdjęcia z powodzeniem są noszone przez miejscowe kobiety. Ciekawa jest też prezentacja okolicznych plemion, których kultura jak się nam wydaje, powoli zamiera. Dalej odwiedzamy Donkey Sancturary. Osiołków na wyspie jest mnóstwo. Służą do przewożenia ludzi i transportu. Wiele osób proponowało nam przejażdżkę na osiołku. Nie skorzystaliśmy, bo nie mielibyśmy sumienia męczyć tak zwierzątek, ale same w sobie wzbudzały w nas wielką sympatię. Wydaje się, że ich znaczenie na wyspie nigdy nie zmaleje, bo uliczki są tak wąskie, że inny rodzaj transportu w połączeniu z pieszymi byłby niebezpieczny. Dalej mijamy warsztaty, w których wyrabia się tradycyjne drewniane drzwi oraz kiepską studnię. Idziemy do rynku, na którym mieści się XIX w. fort. Zwiedzamy fort, w którym jest wystawa prezentująca różne wzory swahilijskich drzwi. Sam fort jest obecnie siedzibą zarządu UNESCO dla miasta i biblioteką. Siadamy na jednej z okolicznych ławek i przypatrujemy się przechodniom oraz siedzącym pod wielkimi drzewami. Po obiedzie (ceny lepsze niż w Shela) idziemy oglądnąć ruiny meczetu Pwani oraz robimy zakupy na miejscowym targu. Następnie zwiedzamy meczet Riyadhha i wracamy na siestę do hotelu. Po południu idziemy jeszcze raz przejść się po mieście i odwiedzamy German Post Office Museum. Tutaj bilet wstępu jest zdecydowanie za drogi a ekspozycja jest niewielka. Przy okazji dowiadujemy się jakie kolonie jeszcze mieli Niemcy przed II WŚ. O niektórych nigdy nie słyszeliśmy. Na koniec trafiamy na pyszne smoothies do jednej z nowych kawiarni w mieście.

13.09.2014 Lamu Town – Malindi

Po śniadaniu przy wschodzącym słońcu z widokiem na morze jedziemy łódką do Mombasa, skąd odjeżdża nasz autobus TSS Express. Tym razem droga wydaje mi się mniej uciążliwa, ale to być może ze względu na fakt, że jedziemy tylko do Malindi a nie do Mombasy (o 3 godz. krócej). Podobno jedziemy też nowym autobusem, chociaż jest zakurzony podobnie jak inne. Plecaki po takiej przejażdżce wyglądają okropnie. W Malindi bierzemy tuk-tuka do Ozi's Guest House. Kierowca próbuje nas naciąć na 400 KSH, ale dajemy tylko 100 i odchodzimy. To i tak więcej niż się należało. Ozi okazuje się zamknięty, więc zostajemy w Giladis Guest House, tuż obok. Cena ta sama, pokój jest ok. Na wprost jest wejście na plażę. Zostawiamy plecaki, przebieramy się w stroje i postanawiamy pójść na plażę znajdującą się dalej za filarem Vasco da Gamy a przy okazji trochę pozwiedzać. Jemy obiad w I love pizza – jest ok, ale to nie jest nasz faworyt. Potem idziemy do Malindi Museum, które znajduje się w

zabytkowym domu z kolumnami. Dom nie jest w najlepszym stanie i ciężko pisać nad nim zachwyty, ale może jak na Afrykę, to rzeczywiście jest zabytek. W środku wystawa praktycznie w całości poświęcona jest olbrzymiej, ciekawej skąd inąd rybie celakantokształtnej, którą wyłowili rybacy kilkanaście lat temu w 2001 r., co było niezwykłym zjawiskiem, gdyż ryby te spotykane są na Komorach i obecnie ich populacja szacowana jest na ok. 200 sztuk. Muzeum nie jest duże mieści się w 2 salach. Bilet na muzeum obejmuje też wstęp do filaru Vasco da Gamy, gdzie udajemy się w następnej kolejności. Filar/kolumna to rodzaj betonowego słupa zakończonego krzyżem, pomalowanego na biało. Położony jest na ładnym cypelku. Stamtąd idziemy na plażę Casuarina. Jest odpływ, więc plaża jest dość szeroka i usiana glonami, ale poza tym piaseczek jest ładny i morze też ma piękny turkusowy kolor. Leżymy trochę na plaży a potem wracamy w stronę hotelu. Po drodze zatrzymujemy się na dobre lody w Hotelu Oasis, które zdecydowanie robione są według receptur włoskich. Następnie zwiedzamy portugalski kościół, który powstał tu za czasów Vasco da Gamy i w którym zatrzymał się dwukrotnie św. Franciszek Ksawery w czasie swoich podróży do i z Indii. Akurat jakaś grupa ma spotkanie w środku, więc możemy obejrzeć skromne wnętrze. Sam kościółek również jest bardzo mały i niepozorny – można go wręcz ominąć przez przypadek. Obok kościoła znajduje się mały stary cmentarz. Kąpiemy się i idziemy na kolację do Jahazi. To okazuje się świetnym miejscem z przepysznym jedzeniem i niezbyt wygórowanymi cenami. Właścicielem jest Włoch, który czuwa osobiście nad wszystkim.

14.09.2014 Malindi – Gede – Watamu – Malindi

Po śniadaniu idziemy na 8:00 na anglojęzyczną Mszę do katedry w Malindi. Jak na Kenię, to Msza jest uboga i bardzo krótka. Potem tuk-tukiem jedziemy na przystanek matatu do Gede. Na miejscu idziemy pieszo do ruin. Na terenie ruin jest jeszcze farma motyli i park węży, my wybieramy te pierwsze i od nich zaczynamy zwiedzanie. Farma jest ciekawa, nasz przewodnik zna się dobrze na motylach i ciekawie opowiada o ich życiu, które jak się dowiadujemy jest bardzo krótkie i wynosi tylko miesiąc. Ciekawostką jest także alfabet i cyferki jakie można znaleźć na różnych gatunkach motyli. Przewodnik pokazuje nam też przykłady litery „w” oraz cyfr „1”, „0”, „18”. Przemek usiłuje zrobić motylom zdjęcia, ale ponieważ są bardzo ruchliwe, więc musi się sporo namęczyć. Po parku biegają radosne mały Sykes. Ruiny są bardzo ciekawe, o wiele ciekawsze niż by to wynikało z opisu w przewodniku. Najbardziej podoba nam się część w wielkim meczecie oraz cały kompleks, który widać z platformy na drzewie. Na terenie miasteczka jesteśmy sami. Dopiero gdy wychodzimy spotykamy innych turystów. Podoba nam się też drzewo które rozdziela pozostałość muru niedaleko początku ruin. Przypomina nam to Ankor Wat w Kambodży. Przy wyjściu kosztujemy pysznego kokosa a następnie tuk-tukiem jedziemy do Watamu. Gdy tuk-tuk wjeżdża na plażę szczyki nam opadają. Spodziewaliśmy się, że będzie tu podobnie jak w Malindi, jednak plaża jest o wiele ładniejsza. Piaseczek jest biały, dosłownie razi w oczy, a morze błękitne. Do tego plażę o morza oddzielają urokliwe skały. Akurat jest odpływ, więc można chodzić po mieliźnie. Podobnie jak w Malindi pełno tutaj Włochów. We włoskiej knajpie jemy obiad i idziemy na spacer po mieliźnie i wzdłuż plaży. Jest cudownie. Ciepło, przyjemny wiaterek, czysta woda. Bardzo nam się tu podoba, choć popływać byłoby tu ciężko, ewentualnie rano sytuacja może wyglądać trochę lepiej. Wracamy do Malindi, idziemy na molo a potem na lody do Osterii, ale mniej nam smakują niż w Oasis. Kolację jemy w doskonałej restauracji Jahazi.

15.09.2014 Malindi – Mombasa

Rano budzi nas tropikalny deszcz. Ponieważ pogoda się nie poprawia, postanawiamy od razu jechać do Mombasy. Praktycznie całą drogę padał deszcz a niebo było przesłonięte chmurami. Po przyjeździe na miejsce idziemy zostawić plecaki w Baracha Guest House w centrum miasta. Idziemy do katedry a następnie do Old Court (obecnie nie ma tu już galerii) oraz pod Fort Jesus, ale nie wchodzimy do środka, licząc na lepszą pogodę następnego dnia. Następnie jemy obiad w Blue Room Restaurant i idziemy do świątyni Sikh'ów. Oprowadza nas sam duchowny na specjalne zaproszenie. Świątynia mieści się w nowoczesnym budynku – nie ma co liczyć na drugie Amritsar, ale miło, że specjalnie dla nas otworzyli. Potem idziemy do świątyni hinduskiej, do której można wejść tylko z przewodnikiem. Korzystamy i nie żałujemy. Przewodnik, choć jest katolikiem, to ciekawie opowiada o różnych obrazach z życia hinduskich bogów. Następnie idziemy pod słynne kły słonia. Niestety z bliska widać łączenia na płytach i nie wygląda to już tak ciekawie jak na pocztówkach z dzieciństwa. Potem próbujemy odnaleźć świątynię hare krishna, ale w tym miejscu, w którym mamy ją zaznaczoną w przewodniku, stoi meczet. Chyba się coś komuś pomyliło. Popołudnie spędzamy na robieniu testów na robaki oraz na wizycie u lekarza, bo Przemek miał na stopie jakiegoś robaka (myślimy, że to dżigas).

16.09.2014 Mombasa

Po śniadaniu w Blue Room idziemy do Fort Jesus. Dzisiaj jest ładna pogoda, słońce praży aż za mocno. Fort przypomina te, które widzieliśmy na Kubie i w Indiach. Jest zaniedbany. Podobają nam się drewniane ozdobne drzwi, które znajdują się na forcie i różne wieżyczki, ale poza ciekawym opisem zwyczajów Omanu nie było w nim w sumie nic nadzwyczajnego. Nawet dziwimy się trochę, że znajduje się na liście UNESCO. Do tego wstęp podróżni o 50%. Co ciekawe poza nami fort zwiedza tylko jedna miejscowa para a gdy wychodzimy z niego, dochodzi wycieczka szkolna miejscowych dzieciaków. W ogóle w samej Mombasie nie spotykamy żadnych turystów. Później idziemy na zwiedzanie starego miasta. Najpierw przez jakiś czas idziemy drogą nad wodą, skąd fajnie widać fort i kąpiące się dzieciaki a następnie idziemy do zabytkowego meczetu położonego na równoległej ulicy. Uliczka była kiedyś centrum turystycznym, ale obecnie świeci pustkami i jedynie straszy turystów. Po ostatnich strzelaninach na starym mieście nawet policjanci podchodzą do nas i proszą, żebyśmy chodzili tam, gdzie są ludzie. Idziemy dalej na spice market. Jak na atrakcję turystyczną przystało, ceny są kosmiczne, ale oglądanie jest na szczęście za darmo. Idziemy na obiad w restauracji hinduskiej a potem robimy zakupy w Tusky's i odpoczywamy w hotelu. Później idziemy na spacer po mieście, rozdajemy też biednym część naszych ubrań. Po zachodzie słońca wracamy do hotelu i wcześniej idziemy spać, bo czeka nas szybka pobudka.

17.09.2014 Mombasa – Istambuł – Praga – Wrocław

W nocy, o 4:10 mamy samolot z Mombasy do Istambułu. Umówiliśmy się z taksówkarzem, że przyjedzie po nas o 1:45, żebyśmy byli dwie godziny przed wylotem na lotnisku. Samolot Turkish Airlines wylatuje zgodnie z planem i po około siedmiu godzinach dolatujemy do Istambułu. Jedzenie podczas lotu było całkiem dobre i mogliśmy też oglądać kilka filmów w systemie wideo na życzenie. Na lotnisku w Istambule czekamy około pięć godzin na samolot do Pragi. O 18:15 jesteśmy już na lotnisku w Pradze, skąd jedziemy autobusem do centrum. Po szybkiej wizycie w Subway'u idziemy z plecakami na dworzec autobusowy Praha Florenc,

skąd o 20:40 odjeżdżamy Polskim Busem do Wrocławia. Na miejscu jesteśmy już po północy.
To był długi dzień i będziemy musieli go odespać.